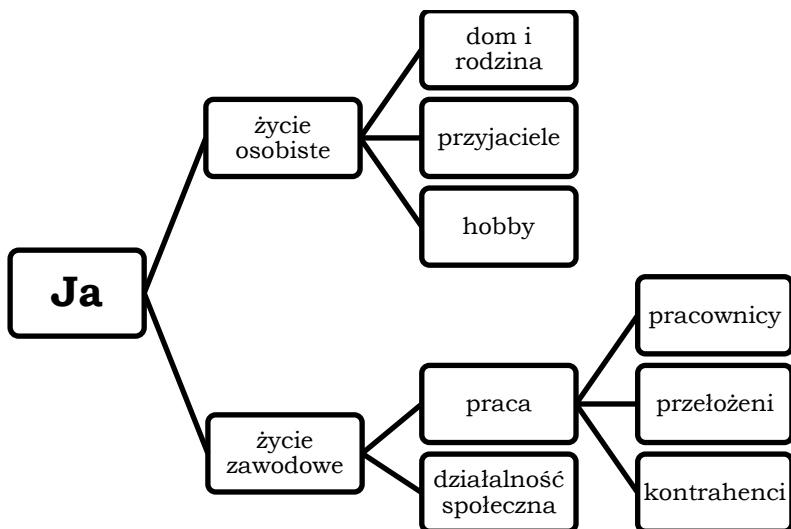


Życie osobiste a życie zawodowe

Dwa określenia zawierające słowo „życie” odnoszą się niewątpliwie do dwóch odrębnych dziedzin życia, jednak przeżywa je jeden człowiek, jeden podmiot, który niezależnie od tego, czy w takiej, czy innej sytuacji, jest, a przynajmniej powinien, być sobą czyli powinien być tym, kim jest. Schematycznie można nasze relacje widzieć w takim schemacie:



Punktem kluczowym w tym schemacie jest osoba wyrażona zaimkiem „Ja”. Ona jest podmiotem i spaja wszystkie relacje w jakich jest. Sam schemat można jeszcze dalej rozwijać, gdyż funkcjonujemy w bardzo różnych strukturach i relacjach. Niestety bywa tak, że gdy patrzymy na sposób zachowania się i reagowania tej samej osoby w różnych sytuacjach to wydaje się często, jak gdybyśmy mieli do czynienia z różnymi ludźmi, z dwoma zupełnie innymi osobami. Dlaczego tak się dzieje? Co powoduje taką różnicę? Gdzie leży zasadniczy problem?

Wydaje się, że z tematem „Życie osobiste a życie zawodowe” związane są zasadniczo dwa istotne zagadnienia ze sobą powiązane:

1. Zupełnie odmienna sytuacja i relacje w pracy i w domu
2. Problem tożsamości osobowej tego, który musi funkcjonować zarówno w domu jak i w pracy i tam spełniać swoje zadania

Zupełnie zasadniczą sprawą jest wpiery zrozumienie, kim jest osoba, czyli podmiot działający i odpowiednio reagujący zarówno w domu jak i w pracy. Nasze rozważania rozpoczniemy zatem od refleksji nad tożsamością podmiotu, jakim jesteśmy.

Tajemnica osoby

Jesteśmy osobami, co oznacza, że jesteśmy takimi istotami, które są podmiotami własnego działania i stają się sobą przez wybory, i w ten sposób same kształtują siebie. Nie możemy jednak kształtować siebie dowolnie, bo naszym życiem jako osób rządzą bardzo określone prawa, których przekroczenie powoduje brak możliwości spełnienia się jako osoby. Jak o tym przypomina Drugi Sobór Watykański osoba może prawdziwie stać się sobą jedynie w spotkaniu z inną osobą i to w relacji miłości. W ten sposób pojęcie osoby ujmuje istotę naszej tożsamości. Przy takim pojęciu osoby nie osiągają tego poziomu ani pan, ani niewolnik, jeżeli pozostają na poziomie relacji pan-niewolnik. Aby być osobą i na poziomie życia osobowego trzeba być z drugim w relacji miłości wyrażającej się przynajmniej szacunkiem dla wolności drugiego. Pan „dysponuje” swoim niewolnikiem, co powoduje, że nie żyje na poziomie bycia osobą.

Istnieniem osobowym rządzą, podobnie jak to jest z przyrodą, określone prawa. Z tą różnicą, że prawa rządzące istnieniem osobowym, relacjami osobowymi, działają niejako z opóźnieniem, a mówiąc ściślej skutki łamania prawa ujawniają się z opóźnieniem, czasami po długich latach, choć bywa i tak, że ujawniają się od razu.

Dwa odrębne rozumienia osoby

Musimy jednak pamiętać, że z pojęciem osoby wiąże się pewne nieporozumienie związane z tym, że pod tym samym określeniem kryją się dwa różne rozumienia i sensy. W starożytnej Grecji pojęcie osoby wiązało się z określoną rolą w życiu społecznym. Wskazuje na nie samo pojęcie *prosopon*, co oznacza

pierwotnie twarz, oblicze, przód, fasada, rola dramatyczna, a stąd maskę używaną przez aktorów w teatrze, a następnie stałą pozycję w społeczeństwie, a nawet główną osobistość w mieście, co przetrwało np. w używanym u nas łacińskim terminie „persona”. Jeżeli jeszcze uwzględnimy fakt, że w starożytnym teatrze wszystkie role grali mężczyźni i jedynie maska wskazywała na odgrywaną postać, sprawa staje się bardziej wyrazista. Osoba to pewna określona w społeczeństwie postać posiadająca znaczenie, funkcje, uprawnienia, prawa itd. Taka persona może być większa lub mniejsza, ale przez fakt pełnienia określonej funkcji, miała ona jakąś pozycję. Z tej racji np. niewolnicy nie byli osobami, bo byli jedynie „mówiącymi narzędziami”. Osobą był jedynie obywatel. Podobnie dzieci nie były osobami, gdyż nie miały żadnych praw ani roli w życiu społecznym. Takie rozumienie osoby jako pewnej postaci (persony) reprezentującej określoną funkcję, uprawnienia, rolę w życiu społecznym funkcjonuje do dzisiaj w prawie. Z takiego rozumienia osoby powstało np. pojęcie „osoby prawnej”, którą może być konkretna osoba fizyczna w swoje społecznej roli, jak i jakaś określona grupa ludzi, firma, jednostka administracyjna czy kościelna, która ma określone prawa i obowiązki w społeczeństwie. *Prosopon*, łac. *persona*, to zatem ktoś, kto pełni pewną określoną rolę w społeczeństwie. Później takie pojęcie persony przyjęła psychologia, dla której oznacza ona maskę, jaką człowiek przybiera na użytek społeczny, kompromis pomiędzy jednostką a społeczeństwem. Wydaje się, że w dzisiejszych sporach np. o aborcję, o filozofię gender, zwolennicy takich postaw prawdopodobnie wychodzą z takiego pojęcia osoby: osoba to zasadniczo ktoś w sensie społecznym uzupełniona o wymiar przeżywania. Podobny problem pojawia się w kontekście dialogu z religiami dalekiego Wschodu – hinduizm, buddyzm, taoizm itd. Oni mówiąc o przejściu, czy zjednoczeniu się z Jednią, czy bóstwem, mówią o konieczności śmierci osoby, czyli o konieczności porzucenia maski, jaką nosimy na ziemi. Stąd ich opór wobec naszych przekonań, że osoba pozostaje. Jeżeli wziąć rozumienie osoby jako określoną rolę w społeczeństwie, to niewątpliwie mają rację. Wraz ze śmiercią kończą się wszelkie godności i honory zdobyte na ziemi. W naszej tradycji wyraża to szereg razy powtarzana w Biblii prawda, że *u Boga nie ma względu na osobę* (Ga 2,6). Jeszcze bardziej dobitnie i wskazując na różne przejawy tak rozumianej osoby, pisze św. Paweł nieco dalej w Liście do Galatów:

Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie (Ga 3,28).

W chrześcijaństwie Ojcowie Kościoła wypracowali inne pojęcie osoby właśnie w sporach o Osobę Jezusa Chrystusa, które na Soborze Chalcedońskim wyrazili określeniem *hypóstasis*, co oznacza: to, co pod spodem, podstawa. I tak Syn Boży stając się Człowiekiem nie zmienił swojej *hypóstasis*, ale przyjął inną postać, zamiast dotychczasowej postaci Bożej (*morfe Theou* – Flp 2,6) przyjął postać sługi (*morfe doulu* – Flp 2,7).

⁶ On będąc w postaci Boga
nie uznał swojej równości z Bogiem
za coś, co trzeba bezwzględnie utrzymać,
⁷ ale sam siebie ogołocił
przyjawszy postać sługi,
i stał się podobny do ludzi,
tak że zewnątrz wyglądał [tylko] na człowieka (Flp 2,6–7).

Osoba Syna, odwieczny Logos, stając się ciałem (zob. J 1,14), przyjął ludzką postać, czyli w istocie jakiś *prosopon*. Sam zresztą pytał o to uczniów:

Za kogo uważają Mnie ludzie? ²⁸ Oni Mu odpowiedzieli: «Za Jana Chrzciciela, inni za Eliasza, jeszcze inni za jednego z proroków». ²⁹ On ich zapytał: «A wy za kogo Mnie uważacie?» Odpowiedział Mu Piotr: «Ty jesteś Mesjasz» (Mk 8,27–29).

W swoim życiu w postaci Jezusa z Nazaretu Syn Boży pokazał, że można pozostać Bogiem, nie trzymając się Bożej postaci z jej wspaniałością, jasnością, wszechwiedzą, nieograniczoną mocą itd. Można być Bogiem przyjmując postać człowieka, gdyż Bóstwo nie zawiera się w postaci, w splendorze i mocy, ale w miłości do końca. Stąd w drugiej części hymnu o kenozie Syna Bożego św. Paweł pisze:

⁸ Uniżył samego siebie [tj. Chrystus]
stając się posłuszny aż do śmierci
i to śmierci na krzyżu.
⁹ Dlatego też Bóg wywyższył Go ponad wszystko
i dał Mu Imię

ponad wszelkie Imię,
¹⁰ aby na Imię Jezusa
zgięło się każde kolano
istot niebieskich, ziemskich i podziemnych
¹¹ i aby każdy język wyznawał, że
Panem jest Jezus Chrystus
na chwałę Boga Ojca (Flp 2,8–11).

Wyniesienie Jezusa Chrystusa „ponad wszystko” po śmierci na krzyżu wynikało z doskonałego odbicia istoty Boga, który jest miłością, jest Tym, który się całkowicie oddaje w miłości. Bóg nie daje czegoś, ale daje siebie. W tym geście „miłości do końca”, czyli darze z siebie samego jako ofiary, Jezus w pełni zrealizował istotę Boskości. Wyniesienie Go przez Ojca „ponad wszystko” stało się gestem uznającym tę pełnię w miłości.

Tutaj też odnajdujemy istotę naszego podobieństwa do Boga: nasze osobowe życie powinno być kształtowanie przez miłość jako gest bezinteresownego daru z siebie, nie z czegoś, ale z siebie samego.

Osoba Jezusa Chrystusa

Jednocześnie przez posłuszeństwo Jezusa z Nazaretu aż do śmierci na krzyżu Ojciec *dał Mu Imię ponad wszelkie Imię, aby na Imię Jezusa zgięło się każde kolano*. W Biblii imię oznacza istotę osoby od strony jej misji czy realizowanego charyzmatu, czyli jakiegoś daru, który jest adresowany do innych. Imię Jezus oznacza po hebrajsku: „JAHWE zbawia” i właśnie to urzeczywistnił Pan Jezus w swoim życiu. Jego zasadnicze zadanie polegało na zbawieniu wszystkich: *Nie przyszedłem bowiem po to, aby świat sądzić, ale aby świat zbawić* (J 12,47). Spełnienie tej misji pozwoliło wszystkim odkryć prawdę o sercu Boga, prawdę, która jest całkowitym zaprzeczeniem odwiecznej sugestii Złego w postaci węża z rajcu, czyli w istocie kłamstwa, że Bóg jest interesowny w swojej miłości i z zazdrością strzeże dla siebie jakiejś tajemnicy, aby człowiek przypadkiem jej nie poznał i stał się tak jak On. Poprzez miłość do końca, przez oddanie własnego życia za człowieka i cały świat, co było możliwe jedynie w postaci człowieka – gdyż jako Bóg nie mógł umrzeć – Bóg pokazał prawdę o swojej miłości, która jest bezinteresowna i do końca. W postaci sługi Bóg wypowiedział istotę swojego życia, odsłonił to, **Kim jest**. Pan Jezus powiedział o tym wyraźnie:

Gdy wywyższycie Syna Człowieczego, wtedy poznacie, że JA JESTEM i że Ja nic od siebie nie czynię, ale że to mówię, czego Mnie Ojciec nauczył.
²⁹ A Ten, który Mnie posłał, jest ze Mną; nie pozostawił Mnie samego, bo Ja zawsze czynię to, co się Jemu podoba (J 8,28–29).

Święty Jan wyraził to potem w swoim liście słowami: *Bóg jest miłością* (1 J 4,8). W tym kontekście dopiero rozumiemy to, co Jezus, będąc jeszcze na ziemi, mówił o sobie: *Ja i Ojciec jedno jesteśmy* (J 10,30) oraz: *kto Mnie widzi, widzi Tego, który Mnie posłał* (J 12,45) i w dłuższej wypowiedzi do apostołów:

Kto Mnie widzi, widzi także i Ojca. Dlaczego więc mówisz: „Pokaż nam Ojca”? ¹⁰ Czy nie wierzysz, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie? Słów tych, które wam mówię, nie wypowiadam od siebie. To Ojciec, który trwa we Mnie, On sam dokonuje tych dzieł. ¹¹ Wierźcie Mi, że Ja jestem w Ojcu, a Ojciec we Mnie. Jeżeli zaś nie – wierźcie przynajmniej ze względu na same dzieła! (J 14,9–11).

Te słowa są dosyć jednoznaczne i mówią, że Syn Boży w postaci człowieka, czyli jako Jezus z Nazaretu, doskonale objawia zamiśl Ojca i Jego miłość do nas, które mają swoje źródło w sercu Ojca. Tym samym Jezus w sposób doskonały wypełnił to, co od początku stworzenia było w Bożym zamiśle odnośnie do człowieka, co wyraża stworzenie na obraz i podobieństwo Boga. Święty Paweł napisał potem: *W Nim bowiem mieszka cała Pełnia: Bóstwo, na sposób ciała* (Kol 2,9).

Człowiek, będąc na ziemi obrazem Boga, powinien przez swoje działania i postawy wyrażać samego Boga. Tego jednak nie robił przez grzech. I trzeba było, by Syn Boży stał się Człowiekiem i w ludzkim życiu pokazał prawdę o Bogu, o jego zdeterminowanej miłości. Brak zawierzenia tej miłości oznacza trwanie w odwiecznym kłamstwie, które zaszczerpił nam Zły. Pan Jezus mówi o tym jednoznacznie: *Jeżeli bowiem nie uwierzycie, że JA JESTEM, pomrzecie w grzechach waszych* (J 8,24). Owo JA JESTEM wyraźnie nawiązuje do sceny objawienia się Boga Mojżeszowi, gdzie Bóg podał mu swoje imię: JESTEM, KTÓRY JESTEM, co greckie tłumaczenie oddało przez JA JESTEM (*ego eimi bo on* Wj 3,14). Tym samym dobrowolna śmierć Pana Jezusa na krzyżu była pełnym objawieniem Boga w jego miłości do nas. Zmartwychwstanie było potem znakiem pozwalającym rozpoznać prawdziwość tego objawienia.

Warto w tym momencie sobie uświadomić, co niesie w sobie „Imię” Boga, jakie On objawił Mojżeszowi, a do którego odnosi się Pan Jezus. Przede wszystkim, kiedy czytamy scenę z krzewem ognistym, to Bóg wpieryw mówi o sobie: *Jestem Bogiem ojca twego, Bogiem Abrahama, Bogiem Izaaka i Bogiem Jakuba* (Wj 3,6). Oznacza to, że jest On Bogiem więzi osobowych, a nie mocy, sił przyrody, czy poszczególnych dziedzin, obszarów ziemi itp. To jest wyraźnie wyróżnienie na tle pogańskich bóstw. Kiedy saduceusze polemizowali z Panem Jezusem na temat zmartwychwstania, Jezus przypomniał im ten fragment i dodał ze swojej strony tylko jedno zdanie, które ich całkowicie powaliło: *Nie jest On Bogiem umarłych, lecz żywych* (Mk 12,27). Nie byłby to argument w naszym języku, jednak w języku hebrajskim, gdzie „jestem” oznacza żywą relację, wskazuje ono, że Abraham, Izaak i Jakub muszą żyć, gdyż inaczej Bóg nie mógłby powiedzieć, że jest ich Bogiem.

Dalej czytamy o posłaniu Mojżesza do Egiptu z misją wyzwolenia Izraela, czego Mojżesz nie chce przyjąć, czując się do tego zupełnie niezdolnym. Na to Bóg powiedział do niego:

Ja będę z tobą. Znakiem zaś dla ciebie, że Ja cię posłałem, będzie to, że po wyprowadzeniu tego ludu z Egiptu oddacie cześć Bogu na tej górze (Wj 3,12).

I dopiero na tym tle pojawia się wypowiedź o „Imieniu” Boga:

Oto pójdę do Izraelitów i powiem im: Bóg ojców naszych posłał mnie do was. Lecz gdy oni mnie zapytają, jakie jest Jego imię, to cóż im mam powiedzieć?»¹⁴ Odpowiedział Bóg Mojżeszowi: «JESTEM, KTÓRY JESTEM». I dodał: «Tak powiesz synom Izraela: JESTEM posłał mnie do was». ¹⁵ Mówił dalej Bóg do Mojżesza: «Tak powiesz Izraelitom: „JESTEM, Bóg ojców waszych, Bóg Abrahama, Bóg Izaaka i Bóg Jakuba posłał mnie do was. To jest imię moje na wieki i to jest moje zawołanie na najdalsze pokolenia” (Wj 3,13–15).

Boże JESTEM odnosi się od razu do więzi osobowej i jednocześnie wskazuje na doświadczenie konkretnych osób związane z obietnicą i jej wypełnieniem. Kolejnym człowiekiem, który doświadczy Bożego JESTEM będzie Mojżesz w swoim życiu przez wypełnienie się Bożej zapowiedzi. Boże JESTEM oznacza jednocześnie: „Jestem z tobą, jestem obecny w twoim życiu, czego doświadczysz”. Zawiera się ta zapowiedź w samym JESTEM (hebr. *ehier*), które nie

posiada określonego czasu teraźniejszego lub przyszłego, ale raczej przypomina naszą formę niedokonaną. Dlatego można je tłumaczyć albo przez „jestem”, albo przez „będę”. W XIX wiecznym tłumaczeniu rabina Cyrkowa mamy w tym miejscu: „BĘDĘ, KTÓRY BĘDĘ”, co wydaje się lepiej oddaje ten doświadczalny charakter żywej obecności Boga w życiu człowieka poprzez zapowiedź i jej realizację.

W „posłuszeństwie aż do śmierci na krzyżu” Pan Jezus objawił Boże imię JESTEM jako miłość do końca: *Tak bowiem Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne* (J 3,16). Przyjęcie tej miłości powoduje odpowiedź zgodną z nią, czyli odpowiedź miłością i to miłością do końca. Takie przyjęcie powoduje nasze z Nim związanie, dokładnie komunie, i przez nią udział w Jego Zmartwychwstaniu.

Osoba i miłość

Tajemnica osoby polega na zakorzenieniu w TYM, KTÓRY JEST. Dokonuje się to przez miłość, będącą odpowiedzią na miłość Boga do nas. Wówczas przez czyn dokonuje się nasze podobieństwo do Boga, a tym samym nasze zakorzenienie w Nim. Słowa Pana Jezusa: *Wszystko, co czyniliście jednemu z tych braci moich najmniejszych, Mnieście uczynili* (Mt 25,40), wskazują na takie zakorzenienie. Przez gest miłosierdzia niejako dotykamy samego Boga. Nasze zakorzenienie w Jezusie jest podobne do zakorzenienia samego Jezusa w Ojcu.

4 Trwajcie we Mnie, a Ja w was [będę trwać]. Podobnie jak latorośl nie może przynosić owocu sama z siebie – jeśli nie trwa w winnym krzewie – tak samo i wy, jeżeli we Mnie trwać nie będziecie. 5 Ja jestem krzewem winnym, wy – latoroślami. Kto trwa we Mnie a Ja w nim, ten przynosi owoc obfity, ponieważ beze Mnie nic nie możecie uczynić. 6 Ten, kto nie trwa we Mnie, zostanie wyrzucony jak winna latorośl i uschnie. Potem ją zbierają i wrzucają w ogień, i płonie. 7 Jeżeli we Mnie trwać będziecie, a słowa moje w was, to proście, o cokolwiek chcecie, a to wam się spełni. 8 Ojciec mój przez to dozna chwały, że owoc obfity przyniesiecie i staniecie się moimi uczniami. 9 Jak Mnie umiłował Ojciec, tak i Ja was umilowałem. Trwajcie w miłości mojej! 10 Jeśli będziecie zachowywać moje przykazania, będziecie trwać w miłości mojej, tak jak Ja zachowałem przykazania Ojca mego i trwam w Jego miłości (J 15,4–10).

Ta wypowiedź Pana Jezusa wyraźnie mówi o konieczności zakorzenienia, co wskazuje na potrzebę owej *hipostasis*, osoby jako podmiotu. Jeżeli ktoś pozostaje jedynie maską, która jest kimś dla innych w doraźnych układach międzyludzkich, bez owego zakorzenienia, uschnie, bo układy się zmieniają; przemija postać tego świata i nasze życie się kończy. Uschnie i zostanie spalony, jak winne latorośle pozbawione życiodajnych soków. Jeżeli natomiast jesteśmy zakorzenieni i nieustannie czerpiemy soki, czyli dynamikę życia od TEGO, KTÓRY JEST, to niezależnie od przyjmowanych postaci (*prosopa*) pozostajemy żywi i przynosimy owoce miłości: *Trwajcie w miłości mojej!* Jest to metafizyka miłości, czyli TEGO, KTÓRY JEST. Cała reszta to są jedynie dodatki.

Jezus głosił zatem metafizykę miłości, w której prawdziwe zakorzenienie istnieje w Tym, który jest miłością. Jednak miłość istnieje jedynie jako żywa relacja i dlatego potrzebna jest wspólnota, w której się realizuje. Dlatego Bóg stworzył ich mężczyznę i niewiastę, by się wzajemnie kochali. W ten sposób mają realizować podobieństwo do Boga. Bez partnera, którego mamy kochać, nie moglibyśmy realizować owego podobieństwa do Boga. W wymiarze społecznym Chrystus założył Kościół, o którym Sobór Watykański pisze, że „Kościół jest w Chrystusie niejako sakramentem, czyli znakiem i narzędziem wewnętrznego zjednoczenia z Bogiem i jedności całego rodzaju ludzkiego” (KK 1). W ten sposób jest On misterium wzajemnej miłości nie tylko uczniów Chrystusa, ale „całego rodzaju ludzkiego”. Kościół jest Ciałem Chrystusa, czyli misterium jego obecności i działania na ziemi. W tym misterium każdy człowiek otrzymuje swój charyzmat, który jest jego służbą dla innych. Charyzmat wyraża prawdziwe imię tego, kto jest nim obdarzony i realizuje go we właściwy sposób. I tak np. Szymon otrzymał od Pana Jezusa nowe imię: Piotr, czyli skała, na której Pan Jezus buduje swój Kościół (zob. Mt 16,18). Podobnie wszyscy uczniowie Jezusa wzajemnie się wspierają we wspólnym budowaniu:

nie jesteście już obcymi i przychodniami, ale jesteście współobywatelami świętych i domownikami Boga – ²⁰ zbudowani na fundamencie apostołów i proroków, gdzie kamieniem węgielnym jest sam Chrystus Jezus. ²¹ W Nim zespalana cała budowla rośnie na świętą w Panu świątynię, ²² w Nim i wy także wznosicie się we wspólnym budowaniu, by stanowić mieszkanie Boga przez Ducha (Ef 2,19–22).

Budowla obejmuje wprawdzie wspólną świątynię Pana, którą jest Kościół, ale w nim każdy z nas stanowi „mieszkanie Boga przez Ducha”. Każdy otrzymuje swoje imię i charyzmat, ale we wszystkich działa ten sam Duch:

¹¹ Wszystko zaś sprawia jeden i ten sam Duch, udzielając każdemu tak, jak chce. ¹² Podobnie jak jedno jest ciało, choć składa się z wielu członków, a wszystkie członki ciała, mimo iż są liczne, stanowią jedno ciało, tak też jest i z Chrystusem. ¹³ Wszyscyśmy bowiem w jednym Duchu zostali ochrzczeni, *aby stanowić* jedno Ciało: czy to Żydzi, czy Grecy, czy to niewolnicy, czy wolni. Wszyscyśmy też zostali napojeni jednym Duchem (1 Kor 12,11–13).

Charyzmaty w Kościele są darami, które są adresowane do innych, a nie do budowana własnej chwały. Oczywiście jest to idealny obraz Kościoła, który w rzeczywistości trudno odnaleźć w prawdziwych relacjach między ludźmi. Niemniej mimo braków, misterium Kościoła istnieje i dzięki łasce Boga coś z tego ideału się realizuje. Dzięki zamieszkaniu Boga w nas przez Ducha otrzymujemy prawdziwą tożsamość, która umożliwia nam stać się sobą. Przy czym stanie się sobą nie sprowadza się do przyjęcia określonej roli, czy funkcji w życiu wspólnym, nie jest wyznaczone przez pochodzenie, rasę, religię, a nawet męskość lub kobiecość, bo to wszystko przemija razem ze światem, na którym żyjemy. Dla św. Pawła ta nowa tożsamość nie sprowadzona do *prosopon* już jest nam dana przez chrzest:

²⁷ Bo wy wszyscy, którzy zostaliście ochrzczeni w Chrystusie, przyoblekliście się w Chrystusa. ²⁸ Nie ma już Żyda ani poganina, nie ma już niewolnika ani człowieka wolnego, nie ma już mężczyzny ani kobiety, wszyscy bowiem jesteście kimś jednym w Chrystusie Jezusie (Ga 3,27–28).

Jezus podczas Ostatniej Wieczerzy na koniec modlił się o jedność, która wyrasta z zakorzenienia w Bogu i jest jednocześnie świadectwem prawdziwości posłania Jezusa jako Mesjasza:

²¹ aby wszyscy stanowili jedno, jak Ty, Ojcze, we Mnie, a Ja w Tobie, aby i oni stanowili w Nas jedno, by świat uwierzył, żeś Ty Mnie posłał. ²² I także chwałę, którą Mi dałeś, przekazałem im, aby stanowili jedno, tak jak My jedno (stanowimy). ²³ Ja w nich, a Ty we Mnie! Oby się tak zespolili w jedno, aby świat poznał, żeś Ty Mnie posłał i żeś Ty ich umiłował, tak jak Mnie umiłowaleś. ²⁴ Ojcze, chcę, aby także ci, których Mi dałeś, byli ze Mną tam, gdzie Ja jestem, aby widzieli chwałę moją, którą Mi dałeś, bo

umilowałeś Mnie przed założeniem świata. ²⁵ Ojcze sprawiedliwy! Świat Ciebie nie poznał, lecz Ja Ciebie poznałem, i oni poznali, żeś Ty Mnie posłał. ²⁶ Objawilem im Twoje imię i nadal będę objawiał, aby miłość, którą Ty Mnie umilowałeś, w nich była i Ja w nich (J 17,21–26).

Kiedy nasz czyn nie jest zakorzeniony w miłości, a tym samym w Bogu, nie osiągamy właściwej tożsamości i sami nie dochodzimy do pełni istnienia jako osoby. Nasza tożsamość się rozmywa w rozmaitych postaciach i rolach społecznych.

Zrodzenie w Chrystusie

Nie przypadkiem zatem osobę rozumianą jako *hipostasis* odkryto w sporach o Osobę Jezusa Chrystusa. Jego tożsamość jest bowiem tożsamością Syna Bożego, zrodzonego przed wiekami z Ojca. Właśnie to zrodzenie z Ojca i jednocześnie zakorzenienie w Ojcu stanowi owo *hipostasis* niezależnie od postaci, przez którą się wypowiada, czy to postaci Bożej, czy postaci sługi. Z nami jest podobnie, jedynie zakorzenieni w Chrystusie stajemy się sobą, czyli tymi, kim naprawdę jesteśmy w Bożym zamyśle. To zrodzenie w Chrystusie, które się wyraża sakramentem chrztu św., i trwanie w Nim, jest naszą prawdziwą *hipostasis*, która wypowiada się obecnie w postaci wcielonych osób na ziemi, a kiedyś otrzyma nową postać w życiu w zmartwychwstaniu. Wtedy, jak mówi Pan Jezus: *nie będą się ani żenić, ani ża mąż wychodzić, lecz będą jak aniołowie Boży w niebie* (Mt 22,30).

Prawdę o naszym stworzeniu i spełnieniu w Chrystusie można wyczytać w Nowym Testamencie na różny sposób. Bardzo wymowny jest dla nas np. hymn z początku Listu do Efezjan:

³ Niech będzie błogosławiony Bóg i Ojciec Pana naszego Jezusa Chrystusa; On napelnił nas wszelkim błogosławieństwem duchowym na wyżynach niebieskich – w Chrystusie.

⁴ W Nim bowiem wybrał nas przed założeniem świata abyśmy byli święci i nieskalani przed Jego obliczem.

Z miłości ⁵przeznaczył nas dla siebie jako przybranych synów poprzez Jezusa Chrystusa, według postanowienia swej woli,

⁶ ku chwale majestatu swej łaski, którą obdarzył nas w Umilowanym.

⁷ W Nim mamy odkupienie przez Jego krew – odpuszczenie występków,

według bogactwa Jego łaski.

⁸ Szczodrze ją na nas wylał

w postaci wszelkiej mądrości i zrozumienia,

⁹ przez to, że nam oznajmił tajemnicę swej woli

według swego postanowienia, które przedtem w Nim powziął

¹⁰ dla dokonania pełni czasów

aby wszystko na nowo zjednoczyć w Chrystusie jako Głowie: to, co w niebiosach, i to, co na ziemi.

¹¹ W Nim dostąpiliśmy udziału my również

z góry przeznaczeni zamiarem Tego,

który dokonuje wszystkiego zgodnie z zamysłem swej woli,

¹² byśmy istnieli ku chwale Jego majestatu –

my, którzyśmy już przedtem nadzieję złożyli w Chrystusie (Ef 1,4–12).

Dopelnia ten tekst jeszcze fragment z drugiego rozdziału:

⁴ A Bóg, będąc bogaty w miłosierdzie, przez wielką swą miłość, jaką nas umiłował, ⁵ i to nas, umarłych na skutek występków, razem z Chrystusem przywrócił do życia – łaską [bowiem] jesteście zbawieni – ⁶ razem też wskrzesił i razem posadził na wyżynach niebieskich – w Chrystusie Jezusie, ⁷ aby w nadchodzących wiekach przeogromne bogactwo swej łaski okazać przez dobroć względem nas, w Chrystusie Jezusie. ⁸ Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga: ⁹ nie z uczynków, aby się nikt nie chlubił. ¹⁰ Jesteśmy bowiem Jego dziełem stworzeni w Chrystusie Jezusie do dobrych czynów, które Bóg z góry przygotował, abyśmy je pełnili (Ef 2,4–10).

Nasze stworzenie *w Chrystusie Jezusie do dobrych czynów* wskazuje na wyraźnie nawiązuje do obrazu winnego krzewu i latorośli, który przytoczyliśmy wyżej. Jeżeli nie trwamy w Nim, jesteśmy pozbawieni fundamentu, autentycznego zakorzenienia w źródle istnienia i dlatego przeminiemy, jak wszystko to, co tego zakorzenienia nie posiada, przemija razem z tym światem. Nasze zakorzenienie w istocie oznacza komunię osobową z Bogiem w Chrystusie Jezusie. Taka komunია jest dziełem Ducha Świętego, który jest Osobą-komunią. To zakorzenienie stanowi nasze *hypothesis*, fundament bycia sobą, a tym samym naszą tożsamość. I tylko wszczępieni w Nim, możemy naprawdę żyć, nie obawiając się śmierci, końca każdej z przyjmowanych postaci.

W tym kontekście „życie osobiste”, a „życie zawodowe” są jedynie dwoma różnymi postaciami, jakie przyjmujemy na siebie. Natomiast prawdziwe *hipostasis* trwa w nas niezależnie od podejmowanych *prosoba*. Nie możemy być różnymi osobami w zależności od okoliczności, nie możemy być schizofrenikami.

Być sobą w domu i pracy

Kiedy spojrzymy na nasze życie od strony tajemnicy osoby, widać, że jego jedność i autentyczność zależy od naszego zakorzenienia, czyli właściwie od odkrycia prawdy o tym, że jesteśmy osobami (w sensie *hipostasis*). Zasadniczo to odkrycie wiąże się z poznaniem podstawowej prawdy bycia osobą, która mówi, że możemy się zrealizować w pełni jedynie poprzez więź miłości. W tym momencie trzeba przywołać znaną sentencję Drugiego Soboru Watykańskiego:

Człowiek jest jedyną istotą, którą Bóg stworzył dla niej samej i człowiek może się zrealizować w pełni tylko przez szczery, bezinteresowny dar z siebie (KDK 24).

Jeżeli zatem chcemy być prawdziwie sobą, to możemy to osiągnąć jedynie wówczas, gdy będziemy siebie oddawali innym. Jest to zgodne z tym, co Pan Jezus mówił w Ewangelii: *Jeśli kto chce być pierwszym, niech będzie ostatnim ze wszystkich i służy wszystkim* (Mk 9,35). Ta dynamika życia sprawdza się we wszystkich jego wymiarach, choć wyraża się zupełnie inną postawą w zależności od samej sytuacji, kim w niej jesteśmy. W szczególności wygląda ona zupełnie inaczej w życiu domowym, a inaczej w życiu zawodowym. W domu jesteśmy kimś innym w odniesieniu do żony, kimś innym w relacji do dzieci, rodziców, teściów, brata, siostry, cioci, wujka, kuzynów itd. Natomiast w pracy zawodowej nasza postawa powinna się wyrażać inaczej w relacji do naszych pracowników, a inaczej do przełożonych, inaczej do kontrahentów, z którymi współpracujemy w realizacji naszych zadań, a inaczej do klientów korzystających z naszej pracy. Można powiedzieć, że zasada jest taka sama – musi to być relacja miłości – ale jej realizacja musi wyglądać inaczej w zależności od sytuacji, w jakiej jesteśmy.

Być sobą w sobie

Zanim skupimy się nad samą realizacją ogólnej zasady miłości do życia w różnych dziedzinach warto sobie uświadomić zasadniczą trudność z jaką przyjdzie się nam skonfrontować. Odnosi się ona do naszej tożsamości. Gdzie ją widzimy? Tutaj w refleksji pomagają nam wcześniej przedstawione rozważania o dwóch koncepcjach osoby: *prosopon* lub *hupostasis*. Niestety bardzo często dominujące jest pojmowanie osoby od strony jej znaczenia w życiu społecznym, czyli jako *prosopon*, *persona*. Wiąże się to jednocześnie z ambicjami, jakie mamy, aby stać się „Kimś”, czyli uzyskać jakąś znaczącą pozycję, mieć władzę i odpowiednie dochody, a także aby móc okazać się lepszym od innych w różnych dziedzinach życia. Św. Jan pisze w swoim liście: *Wszystko bowiem, co jest na świecie, a więc: pożądliwość ciała, pożądliwość oczu i pycha tego życia nie pochodzą od Ojca, lecz od świata* (1J 2,16). Ambicje związane z tymi pożądliwościami wzbudzają w nas zarówno np. rodzice, środowisko jak również same standardy funkcjonujące w społeczeństwie. W tym przypadku nasze oczekiwania oraz sposób wartościowania zależy od tego, co na świecie uchodzi za ważne i znaczące. Przy takim nastawieniu łatwo wpaść w uzależnienie od stanowiska, jakie się osiągnęło w społeczeństwie. Człowiek utożsamia się wówczas ze swoją pozycją społeczną i stara się postępować według standardów, jakie taka pozycja ze sobą niesie, przynajmniej jak te standardy wyglądają w jego mniemaniu. Jednak wówczas problem tego człowieka polega na braku autentyczności, braku odniesienia się do tego, co sam czuje w swoim sercu, lecz uzależnienie od standardów jakie obowiązują w środowisku, czyli zależność od czegoś zewnętrznego. Jeżeli jeszcze uwzględnić fakt, że często owe standardy są jedynie mniemane, a nie rzeczywiste, to powstaje wówczas osobowość nieautentyczna, zniewolona, która nie może prawdziwie stać się sobą i tym samym osiągnąć szczęście. Ponadto trzeba pamiętać, że kiedyś nasza funkcja taka, czy inna, się skończy, a przecież pozostajemy sobą. Zatem źródło naszej tożsamości musimy szukać gdzie indziej.

Sz szczególnie niebezpieczne są w tym momencie standardy, jakie stara się kształtować korporacja. One napędzają ludzkie ambicje, by stawali się coraz lepsi i osiągnęli coraz wyższe stanowiska, a ponadto starają się zagarnąć człowieka. Zabierają mu coraz większą ilość czasu i energii dla firmy, pozbawiając go osobistego życia. Ludzie stają się jakimiś „robotami”.

Jeżeli człowiek zbyt identyfikuje się ze swoją funkcją w życiu zawodowym, gdy ono staje się dla niego najważniejsze, to ma to także tragiczne skutki w odniesieniu do życia osobistego. Fatalnie odbija się na życiu w rodzinie, na które można przenosić swoje standardy z życia zawodowego, co powoduje sztuczność w relacjach wzajemnych z żoną, dziećmi i innymi członkami rodziny. Niezależnie od tego zbyt przeżywanie swojej pozycji zawodowej może na tyle dominować, że po prostu nie będziemy mieli czasu na życie rodzinne, co niestety bywa coraz częstszym zjawiskiem.

Życie domowe lub w gronie przyjaciół często staje się odskocznią dla odreagowania napięć, jakie się pojawiają w życiu zawodowym. Przyjmuje to różne formy. Z jednej strony, ponieważ zasadnicza treść życia odnosi się do życia zawodowego, na dom nie zostaje wiele czasu i energii do budowania czegoś oryginalnego. Dlatego sztampa i rutyna w relacjach domowych, aby zminimalizować potrzebną energię i czas na „zalatwienie” spraw domowych. Podobnie z przyjaciółmi. Jednak ponieważ największe stresy przeżywane w pracy związane są z niepowodzeniami, potrzebne jest odreagowanie w domu, czy w gronie przyjaciół. W domu może to polegać na podkreśleniu swojej niekwestionowanej dominacji, która właśnie w pracy została podważona przez konflikt lub doświadczenie poniżenia. W gronie przyjaciół można wpierszyć się wygadać i obgadać innych, ale przede wszystkim można odreagować przez rozrywkę typu alkohol, sporty ekstremalne, rozhułkane zabawy itd. Ponadto same relacje przyjaźni mogą być motywowane jedynie potrzebą odreagowania. Kiedy się skończy taka potrzeba, lub znajdziemy inne możliwości odreagowania, same „przyjaźnie” się kończą. Tak czy inaczej przy absolutnej dominacji ambicji zawodowych dom i przyjaciele będą jedynie odskocznią od życia zawodowego.

Możliwa jest, choć niewątpliwie o wiele rzadsza, sytuacja odwrotna, w której życie osobiste czy po prostu domowe staje się na tyle ważne i przeżywane, że mężczyzna lub kobieta nie są w stanie podjąć zadania zawodowego. O ile w sytuacji wychowania małych dzieci może to być prawda obiektywna, to jednak w sytuacji dzieci już w szkole średniej nie powinno stanowić przeszkody, a może się okazać, że nadal związanie z domem blokuje kogoś przed podjęciem pracy zawodowej. Może się to także wyrazić brakiem możliwości wejścia w żywe więzi przyjaźni.

W każdym bądź razie przejęcie się, czy utożsamienie z jedną rolą społeczną, niesie z sobą niemożność bycia sobą w innych rolach i zadaniach. Mamy wówczas do czynienia z osobowością zaburzoną. Ten przykład pokazuje, jak niezmiernie ważna jest zdolność przyjmowania odmiennych ról i w związku z tym relacji w życiu z innymi. Wynika to stąd, że sami w sobie jesteśmy kimś więcej niż sugeruje jakakolwiek rola w życiu społecznym. Istnieje w nas głębia, którą można nazwać misterium bycia osobą, polegająca na tym, że niezależnie od sytuacji, naszej pozycji wobec innych, posiadanej lub nie władzy, pozostaje naszą istotą, a wyraża się poprzez rozmaite role i relacje w jakich uczestniczymy. Innymi słowy nie możemy być jedynie maską, ale mamy w sobie do czynienia z głębią, którą może odsłonić jedynie więcej odmiennych relacji, w jakie wchodzimy z innymi i sytuacji, w jakich się znajdziemy. Mówiąc kolokwialnie: możemy odgrywać różne role w dramacie życia w zależności od sytuacji, w jakiej jesteśmy, jednak żadna z ról nie jest tożsama z nami samymi. Istotne jest coś zupełnie innego, to na co wskazał Jezus Chrystus, wcielony Logos, który pozostał Bogiem przyjmując postać Człowieka. Tak również i my możemy być dziećmi Bożymi niezależnie od roli społecznej, od tego, czy jesteśmy uznani czy nie, czy jesteśmy poważani czy znieważani i pogardzani, czy jesteśmy kimś ważnym czy mało ważni. Tę prawdę wypowiedział Pan Jezusa w Kazaniu na górze w Błogosławieństwach określając mianem szczęśliwych tych, którzy są związani z Bogiem niezależnie od przeżywanego cierpienia, prześladowania, ubóstwa, odrzucenia itd.

Miłość ma wiele obliczy

Zasadniczą prawdą odnoszącą się do tego misterium bycia osobą pozostaje konieczność uczestniczenia w relacji miłości z innymi. Jednak miłość ma różne wymiary i różnie się wyraża. Wydaje się, że najtrudniejsze dla nas jest przykazanie miłości nieprzyjaciół, o jakim mówi Pan Jezus w Ewangelii. Warto się mu przyjrzeć, bo w nim zawarte są najbardziej elementarne wymogi odnoszące się do miłości:

⁴³ Słyszeliście, że powiedziano: Będziesz miłował swego bliźniego, a nieprzyjaciela swego będziesz nienawidził. ⁴⁴ A Ja wam powiadam: Miłujcie waszych nieprzyjaciół i módlcie się za tych, którzy was prześladowają; ⁴⁵ tak będziecie synami Ojca waszego, który jest w niebie; ponieważ On sprawia,

że słońce Jego wschodzi nad złymi i nad dobrymi, i On zsyła deszcz na sprawiedliwych i niesprawiedliwych (Mt 5,43–45).

Jednak miłość nieprzyjaciół niewątpliwie różni się od miłości przyjaciół, nie mówiąc już o miłości w małżeństwie czy do własnych dzieci. Wydaje się zatem, że zasadniczym problemem jest właściwe rozumienie miłości w różnych sytuacjach. Co ono oznacza w życiu rodzinnym? Co w życiu przyjacielskim? A co w pracy zawodowej w odniesieniu do pracowników, zwierzchników i kontrahentów? Zanim do tego dojdziemy, trzeba odpowiedzieć sobie na czym polega miłość. Wydaje się, że można roboczo przyjąć określenie – **miłość oznacza pragnienie i czynienie prawdziwego dobra drugiemu**. Może najłatwiej zobaczyć to na przykładzie miłości nieprzyjaciół. Co Biblia nam nakazuje w tym względzie?

Miłość nieprzyjaciół według powyższego tekstu wymaga od nas: modlitwy za nich, a tym samym życzenia im dobra. W tekście z Ewangelii według św. Łukasza powiedziane jest jeszcze więcej:

Miłujcie waszych nieprzyjaciół; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą; ²⁸ błogosławcie tym, którzy was przeklinają, i módlcie się za tych, którzy was oczerniają. ²⁹ Jeśli cię kto uderzy w *jeden* policzek, nadstaw mu i drugi! Jeśli bierze ci płaszcz, nie broń mu i szaty! ³⁰ Daj każdemu, kto cię prosi, a nie dopominaj się zwrotu od tego, który bierze twoje. ³¹ Jak chcecie, żeby ludzie wam czynili, podobnie wy im czyńcie! ³² Jeśli bowiem miłujecie tych tylko, którzy was miłują, jakaż za to dla was wdzięczność? Przecież i grzesznicy miłość okazują tym, którzy ich miłują. ³³ I jeśli dobrze czynicie tym tylko, którzy wam dobrze czynią, jaka za to dla was wdzięczność? I grzesznicy to samo czynią. ³⁴ Jeśli pożyczek udzielacie tym, od których spodziewacie się zwrotu, jakaż za to dla was wdzięczność? I grzesznicy grzesznikom pożyczają, żeby tyleż samo otrzymać. ³⁵ Wy natomiast miłujcie waszych nieprzyjaciół, czyńcie dobrze i pożyczajcie, niczego się za to nie spodziewając. A wasza nagroda będzie wielka, i będziecie synami Najwyższego; ponieważ On jest dobry dla niewdzięcznych i złych. ³⁶ Bądźcie miłosierni, jak Ojciec wasz jest miłosierny. ³⁷ Nie sądzcie, a nie będziecie sądzeni; nie potępiajcie, a nie będziecie potępieni; odpuszczajcie, a będzie wam odpuszczone. ³⁸ Dawajcie, a będzie wam dane; miarę dobrą, natłoczoną, utrzęsioną i opływającą wsypią w zanadru wasze. Odmierzą wam bowiem taką miarą, jaką wy mierzycie (Łk 6,27–38).

Powinniśmy im dobrze czynić, błogosławić ich, nie odpłacać im złem za zło, pożyczać bez „spodziewania się” zwrotu, nie sądzić, nie potępiać, odpuszczać im winy. Wszystko to po to, by się upodobnić do Ojca, który jest w niebie i jednocześnie z nadzieją, że my będziemy tak potraktowani przez Boga, jak sami traktujemy innych. W tym momencie trzeba jednak nieco wyjaśnić, co oznacza „nadstawienie policzka” lub „brak domagania się zwrotu pożyczki”. Nie chodzi o bezwzględna zasadę, gdyż sam Pan Jezus, gdy go uderzył sługa arcykapłana, wcale nie nadstawiał drugiego policzka, ale spytał go, dlaczego Go bije (zob. J 18,22n). Chodzi zatem nie tyle o naiwne wystawienie się na krzywdzenie przez innych, ile raczej o zdolność przebaczenia, bycia wolnym od poczucia pokrzywdzenia i chęci zemsty. Poza samym brakiem odpłacenia złem za zło istnieje jeszcze ważna zasada nie pomagania innym w grzechu, choćby przez to, że się im daje zgodę na zło. Jesteśmy nawet zobowiązani do napomnienia braterskiego. Inaczej stalibyśmy się współwinni czyjś grzechu. I właśnie zgodnie z tą zasadą zareagował Pan Jezus wobec sługi arcykapłana.

Święty Paweł, wydaje się, daje bardzo jasne wyjaśnienie potrzeby okazywania miłosierdzia nieprzyjaciółom:

¹⁹ Umiłowani, nie wymierzajcie sami sobie sprawiedliwości, lecz pozostawcie to pomście *Bożej!* Napisano bowiem: Do Mnie należy pomsta. Ja wymierzę zapłatę – mówi Pan – ale: Jeżeli nieprzyjaciel twój cierpi głód – nakarm go. ²⁰ Jeżeli pragnie – napój go! Tak bowiem czyniąc, węgle żarzące zgromadzisz na jego głowę. ²¹ Nie daj się zwyciężyć złu, ale zło dobrem zwyciężaj! (Rz 12,19–21).

Wpierw musimy sobie uświadomić, że sprawiedliwość należy do Boga, a nie do nas i ponadto zło popełniane przez nas, niezależnie od powodów, dla których byśmy je popełniali, powoduje, że stajemy się sługami Złego. Stąd dla naszego własnego dobra musimy się odciąć od jakiegokolwiek zła, nie pozwalać na szerzenie się w nas złości, niechęci, nienawiści. W naszym działaniu musimy zawsze być nastwieni na robienia dobra. I na tym poziomie obowiązuje nas miłość nieprzyjaciół. Jednocześnie ważna jest motywacja takiego nastawienia do nieprzyjaciół: jest nią potrzeba podobieństwa do Boga! Pan Jezus nawiązuje w tym momencie do podstawowej prawdy naszego życia, że

jesteśmy stworzeni na podobieństwo Boga, co przekłada się na postępowanie w życiu: powinniśmy w sobie odbijać to, co jest Boże. **Normą życia człowieka jest podobieństwo do Boga.**

Natomiast w miłości nieprzyjaciół nie mamy żadnego obowiązku kochać emocjonalnie. Samo określenie „nieprzyjaciół” oznacza kogoś, kto zrobił lub robi nam coś złego, kogoś nam nieżyczliwego lub złośliwego względem nas. Spontanicznie pojawia się w nas poczucie pokrzywdzenia i zdystansowanie do tego człowieka. Nasza niechęć jest spontanicznym uczuciem, nad którym nie panujemy bezpośrednio i nie mamy obowiązku tego uczucia zmieniać na przyjazne, choć niewątpliwie powinniśmy pracować nad tym, by wyeliminować złe nastawienie. Powinniśmy ponadto zachować roztropność w działaniu, zatem nie musimy ufać komuś, kto okazał się nieuczciwy czy przewrotny. Ważne jest to, byśmy sami nie robili niczego złego. Przy czym dobro dla drugiego nie oznacza tego, co on uważa za dobro, ale to, co jest obiektywnie dobre. Dlatego robienie czegoś dobrego, nie sprowadza się do spełniania czyjegoś pragnienia. Gdyby np. rodzice spełniali wszystkie pragnienia swoich dzieci, nie wychowaliby ich na dobrych ludzi, ale wzmacnia się w nich egocentryzm, co powoduje, że stają się oni niezdolni do budowania prawdziwej miłości, która przecież wymaga oddania się drugiemu w bezinteresownym darze z siebie. Podobnie nie trzeba od razu dać podwyżkę pracownikowi, bo on się tego domaga, ale trzeba to obiektywnie ocenić w kontekście sytuacji, w jakiej jest firma.

Refleksja nad miłością nieprzyjaciół daje nam podstawy do uchwycenia właściwych relacji z ludźmi obcymi, którzy mogą się okazać przyjaźni, rzetelni, ale mogą być zakłamanymi, żądni zysku i dlatego mogą chcieć nas oszukać lub wykorzystać. Wobec nich obowiązuje nas przynajmniej to, co zawiera w sobie nakaz miłości nieprzyjaciół, czyli zasadniczo życzliwość i nie odpłacania złem za zło. Oczywiście to nie wystarczy. Nie możemy nieznanego lub już znanego nam, ale nie do końca poznanego od strony jego rzetelności i uczciwości człowieka, traktować jak wroga. Naturalna postawa wobec innych powinna polegać na życzliwym otwarciu na nich z pewnym kredytem zaufania, ale z jednoczesną ostrożnością. Jeżeli nasze relacje się zacieśniają i następuje coraz większa znajomość, nasze nastawienie może się zmieniać aż po głęboką przy-

jaźń, lub odwrotnie może przyjąć postać nieufności po doznanej krzywdzie. Niemniej nawet w przypadku największej ufności i przyjaźni, do jakiej można dojść z kontrahentami lub w relacji do współpracowników, w samej pracy i w decyzjach, jakie podejmujemy, nie może być względu na osoby, ale trzeba myśleć w kategoriach obiektywnego dobra firmy. Do takich kryteriów należy także np. fakt, że istnieje mniejsze ryzyko, gdy zlecamy wykonanie jakiejś usługi lub kupno u kogoś nam dobrze znanego i wypróbowanego niż u kogoś nowego nie znanego nam. Więc pewien „wzgląd na osoby” istnieje przy czysto biznesowym podejściu do problemu. Jednak trzeba wziąć pod uwagę także inne kryteria: cena, termin, solidność, inne powiązania itd.

W odniesieniu do pracowników natomiast nawet najbardziej przyjazne stosunki z kimś z podwładnych nie mogą powodować wyróżniania, które by inni mogli widzieć jako układ i stronniczość. To zagadnienie jest związane z „samotnością lidera”. Przyjaźnie natomiast mogą być pomiędzy osobami na równoległych stanowiskach lub z innymi poza zespołem, którym lider zarządza.

Jednak nawet największa zażyłość w zespole wspólnie pracującym nie powinna się przeradzać w relację intymno-erotyczną, w romans. Taka relacja jest dla pracy niszcząca. Dlatego jest ona zarezerwowana dla relacji rodzinnych. Oczywiście w tak zwanej firmie rodzinnej mogą pracować wspólnie mąż i żona, jednak w tym przypadku sprawa jest jasna: oni są właścicielami i w związku z tym ich relacja z innymi ma nieco inny charakter. Istnieją także przypadki udanej współpracy małżonków w pracy zawodowej, jednak to wymaga ich dojrzałości. Natomiast związki emocjonalno-erotyczne o charakterze romansu z reguły są szkodliwe dla pracy zespołu. Powodują bowiem pomieszanie ról i relacji: zamiast związanych z z troskaniem o obiektywne dobro wspólnej pracy i jej wyników, miłość erotyczna wprowadza czynnik emocjonalno-subiektywny np. w ocenie pracy i rzetelności, wprowadza element „względu na osobę”. Z drugiej zaś strony kryzys w więzi emocjonalno-erotycznej wyraźnie wpływa na atmosferę w pracy i jej jakość. Brak obiektywnego podejścia do oceny innych i ich działania.

W tym momencie warto wskazać na różnicę istniejącą pomiędzy relacjami w pracy, a relacjami rodzinnymi: ze współmałżonkiem, dziećmi, rodzicami,

braćmi i siostrami itd. Jak mówiliśmy wszystkie relacje powinny się wyrażać wzajemną miłością, jednak istnieje inny wymiar miłości w relacji do osób „obcych”, czyli takich z którymi nie jesteśmy związani więziami miłości rodzinnej czy oblubieńczej, a miłością do nam bliskich. Ta różnica wiąże się z celem i sensem więzi rodzinnych i zawodowych.

W relacjach rodzinnych najważniejsza jest miłość w wymiarze budowania własnej tożsamości i kształtowania swojego człowieczeństwa. Dlatego najważniejszą sprawą jest doświadczenie bycia kochanym i to miłością bezwarunkową oraz oczywiście taką miłością obdarzanie innych. Ta miłość nie zależy od tego, czy jestem zdrowy czy chory, czy odnoszę sukces czy przegrywam, czy jestem promienny i radosny czy smutny lub przygnębiony. W ten sposób buduje się fundament własnej tożsamości niezależnej od różnych względów i uwarunkowań zewnętrznych. Naszą tożsamość odnajdujemy wewnątrz poprzez odniesienie do źródeł naszego istnienia i ukształtowania (relacje z rodzicami), a także do budowania miłości, w której budujemy się w żywej więzi (dwoje w jednym ciele, jak określa Biblia więzi małżeńskie), dającej nam możliwość zrealizowania się jako mężczyzny, męża i ojca lub kobiety, żony i matki. Ta więź jest więzią egzystencjalną budującą naszą tożsamość i z istoty musi być na wskroś bezinteresowna. Ona daje doświadczenie bycia kochanym bezwarunkowo, a nie dla jakiejś przyczyny: rzetelność w pracy, wydajność, dyspozycyjność itd. Taka miłość jest potrzebna przede wszystkim w odniesieniu do dzieci, ale także właściwe we wszystkich relacjach w rodzinie. Daje ona dzieciom mocne zakorzenienie i poczucie własnej wartości oraz poczucie tożsamości. Miłość w rodzinie najlepiej oddaje prawdę o miłości Boga do nas, miłości bezwarunkowej i zdeterminowanej. Nie przypadkiem Pan Jezus poleca nam modlić się do Boga zwracając się do Niego: „Ojcze!”. W rodzinie wszyscy powinni pomagać sobie nawzajem w budowaniu własnej tożsamości poprzez doświadczenie bezinteresownej i bezwarunkowej miłości.

Właściwie ukształtowana tożsamość wyzwala w nas twórcze energie do realizowania się w różnych rolach społecznych: poprzez przekaz życia i wychowanie potomstwa, a także w pracy zawodowej i społecznych funkcjach obywatelskich i przyjaźniach. Relacje zawodowe są ukierunkowane na wspólne wykonywanie jakiegoś dobra dla innych. Wytwarzana wartość jest obiektywna, we-

ryfikowalna przez potrzeby w społeczeństwie. To wymaga pewnego zdystansowania i stąd konieczna rezerwa do rozbudzonych relacji emocjonalnych we wspólnocie pracy. Praca zawodowa z jednej strony powinno zaspakajać określone potrzeby tych, którym służymy, a z drugiej dawać podstawę ekonomiczną do utrzymania.

Mamy zatem do czynienia z dwoma różnymi wymiarami naszego życia. Te dwie różne w swoim ukierunkowaniu relacje w życiu osobistym (nastawienie na budowanie własnego zakorzenienia i tożsamości) i życiu zawodowym (obiektywna wartość wytwarzana dla życia w społeczeństwie) wymagają od nas innych nastawień i postaw. Tworzą one dwa zasadniczo różne typy przyjmowanych *prosopa*, person. Ich różnica jest istotna, gdyż my sami, czyli my jako osoba, potrzebujemy się wyrazić w różnych postawach i relacjach, gdyż prawda o nas jest głębsza niż jakakolwiek persona przyjmowana w życiu. Bardzo istotne jest to, że nie można mieszać ról, jakie przyjmujemy w społeczeństwie i w życiu domowym. Mieszanie ról powoduje zaburzenia w życiu człowieka. Najbardziej widać to po dzieciach np. z rodzin patologicznych, w których one musiały przejmować odpowiedzialność za rodziców, co prowadzi do poważnych kłopotów w życiu dorosłym (syndrom DDA).

Oba te wymiary życia są bardzo ważne dla nas. Jeżeli bowiem zamknęlibyśmy się jedynie w relacjach domowych, to moglibyśmy kształtować siebie w subiektywnie przeżywanych wartościach, co często prowadzi do wypaczeń. Tak np. dzieje się w sektach, które stwarzają zamkniętą grupę o bardzo mocnych relacjach wzajemnych na podobieństwo rodziny przy jednoczesnym izolowaniu się od reszty społeczeństwa. Prowadzi to do chorych relacji i wypaczenia osobowości. W tym przypadku relacje w pracy pomagają nam weryfikować nasze subiektywne relacje i czasem odzierają je ze złudzeń. Natomiast, gdy zredukujemy się do pracy zawodowej bez zakorzenienia w tożsamości zbudowanej na bezinteresownej, bezwarunkowej miłości, to stajemy się automatami lub zaszczutymi pieskami, które nie są w stanie odróżnić ani wybrać dobra a nie zła. Człowiek wówczas stara się trzymać jakichś formalnych zasad, aby uzyskać poczucie spełnienia.

Zauważmy jednocześnie, że nawet jeżeli rozważymy jedynie naszą personę związaną z życiem osobistym, to i w tym przypadku następuje zmiana od postaci dziecka, młodzieńca do dorosłego, męża i ojca i aż po dziadka i schorowanego, a często zniedołężniałego staruszka. Każda z tych postaci w istocie jest wypowiedzią jednej i tej samej osoby. Każda niesie z sobą właściwe sobie doświadczenie i zadanie. Wszystko to jest potrzebne dla naszego rozwoju. Relacje i postawy, jakie musimy podejmować w życiu zawodowym, jeszcze dalej rozszerzają nasze doświadczenia i zadania. Przyjmowane postawy i zadania stają się dla nas wielką szansą odkrycia prawdy o sobie samym. We wszystkich tych postawach najważniejsze dla nas jest w istocie doświadczenie tajemnicy naszego istnienia, naszej osoby, i naszej relacji do Boga, źródła wszelkiego istnienia. My jako osoby jesteśmy w istocie transcendentni w stosunku do ról, jakie spełniamy, jesteśmy kimś większym niż jakakolwiek relacja w jakiej jesteśmy na świecie. Nawet jeżeli jest to relacja małżeńska, która jest chyba najsilniejszą więzią międzyludzką w naszym życiu. Nasze wykraczanie ponad wszelkie role przypomina to, że Bóg jest transcendentny w stosunku do całego stworzenia. Stworzenie natomiast wyraża sobą Jego wielkość. Do tego nawiązuje św. Paweł w Liście do Rzymian mówiąc o winie pogan:

¹⁹ To bowiem, co o Bogu można poznać, jawne jest wśród nich, gdyż Bóg im to ujawnił. ²⁰ Albowiem od stworzenia świata niewidzialne Jego przymioty – wiekuista Jego potęga oraz bóstwo – stają się widzialne dla umysłu przez Jego dzieła, tak że nie mogą się wymówić od winy. ²¹ Ponieważ, choć Boga poznali, nie oddali Mu czci jako Bogu ani Mu nie dziękowali, lecz znikczemnieli w swoich myślach i zaćmione zostało bezrozumne ich serce (Rz 1,19–21).

Będąc w żywych relacjach w domu i pracy sami odkrywamy prawdę o sobie, która zawiera w sobie misterium naszego podobieństwa do Boga, i jednocześnie siebie kształtujemy. Istotne jest to, że ostatecznie wszystkie nasze role w życiu się skończą, nawet te związane z życiem rodzinnym: bycie mężem, żoną, ojcem, matką itd. Natomiast istotne zostanie to, kim się stajemy, podejmując te wszystkie role. Możemy je podjąć jako szansę na nasz rozwój, czyli jako szkołę życia, albo możemy je odgrywać sztucznie, politycznie. Możemy zatem poprzez nie doświadczać i odkrywać głębię naszego życia, ale możemy także

nie odkrywać, a nawet zaprzepaszczać swoje doświadczenia, zamykając się na ich prawdę, starając się jedynie zrealizować z góry określony cel.

Różnorodność autentycznie przyjmowanych ról i postaw uczy nas pokory, bo nawet gdy w jednej z ról społecznych jesteśmy liderami i mistrzami, to inne przypominają nam, że jesteśmy także uczniami, dziećmi, podwładnymi, przyjaciółmi, pacjentami itd. Ta różnorodność pokazuje nam, że żadna z ról społecznych, żadna maska, żadna z przyjmowanych postaci (*prosopon, persona*) nie jest tożsama z nami, nie stanowi naszej istoty. One wszystkie są jedynie pewnymi funkcjami, rolami społecznymi, więziami z innymi, służbami do wypełnienia. Natomiast to, kim sami jesteśmy, pozostaje przed nami do odkrycia.

Właściwie dzielić czas i energię na życie osobiste i zawodowe

Niewątpliwie bardzo ważnym zagadnieniem w naszym życiu jest podział czasu i energii pomiędzy życiem osobistym, a zawodowym. Jest to problem niezmiernie ważny dla lidera. O wiele łatwiejszy jest on do uzgodnienia dla zwykłego pracownika, który ma bardzo wyraźnie określony zakres swoich obowiązków oraz czas pracy. Ustawowo powinien on pracować 40 godzin w tygodniu, i pracodawca musi respektować ten czas pracy i nie przedłużać go. Ponadto zwykły pracownik za drzwiami swojej pracy zostawia wszystkie problemy, które z tą pracą są związane, czego nie może powiedzieć o swojej pracy lider. Lider ponadto nie ma limitowanego czasu pracy i w związku z tym, może pracować na okrągło, a przynajmniej o pracy myśleć na okrągło, co niestety nierzadko się zdarza.

Podział kiedyś ustalany jako idealny: 8 godzin pracy, 8 godzin na życie osobiste i 8 godzin odpoczynku i snu, a ponadto 2 dni wole w tygodniu, to dzisiaj dla lidera raczej marzenie. Niemniej taki układ wydaje się być rzeczywiście sensowny. Widać w nim właściwe proporcje: godziny przeznaczone na sprawy związane z życiem osobistym (8 godzin w dni robocze i 2 dni wolne) wskazują właściwą wagę życia osobistego, w szczególności rodzinnego, dla życia każdego. Ono jest zasadnicze, bo w nim jesteśmy najbardziej sobą, a praca powinna być dziedziną aktywności „na zewnątrz”. To z tego czasu trzeba przeznaczyć część na głębszą refleksję, modlitwę i inne formy spotkania z Bogiem. W tym czasie także dokonuje się integracja życia z bliskimi: rodziną i przyjaciółmi. Do

niej także należy praca dla domu i w nim, dla innych wspólnot, w jakich jesteśmy poza naszym życiem zawodowym. Niestety przy obecnym rozumieniu pracy nie uwzględnia się pracy w domu, jaką np. wykonuje kobieta, która w domu pozostaje. A przecież ta praca jest bardzo konkretna i trzeba ją wykonać.

Takie rozumienia pracy sprowadzone do samej pracy zawodowej i zarobkowej, owocuje czasem w życiu domowym fatalnymi skutkami. Osoba, która zasadniczo utrzymuje rodzinę dzięki swoim zarobkom, uważa się za zwolnioną od wysiłku na rzecz pracy w domu. Jednak taka postawa oznacza, że nie włącza się w pełni w samo życie rodzinne, dla którego prace domowe są jednym z wymiarów życia i wzajemnej służby. Postawa roszczeniowa w odniesieniu do innych członków rodziny powoduje zdystansowanie, a nawet wyizolowanie się z rodziny. To jednocześnie oznacza brak odnalezienia się w roli członka rodziny: męża, żony, ojca czy matki..., a to przekłada się na brak odpowiedniego doświadczenia ubogacającego nasze odnajdywanie się jako osoby, która może się realizować tylko w szczerym, bezinteresownym darze z siebie. Przy czym ponieważ doświadczenie relacji bliskości rodzinnej jest w istocie najważniejsze dla nas, postawa bycia „panem” w domu jest w sposób szczególny niszcząca.

Taka sytuacja zazwyczaj powoduje pogłębiający się kryzys w domu i ucieczkę z tego względu do innych, bardziej „przyjemnych” relacji czy to z kolegami, czy z inną partnerką, czy w używki lub w pracę, gdzie się ma określoną pozycję i uznanie. Jednak braki w relacjach domowych powodują zaburzenia w najbardziej intymnych sferach naszego życia, powodują brak zdolności nawiązywania autentycznych więzi miłości z pełnym zaangażowaniem i oddaniem się.

Natomiast praca będąca „działalnością na zewnątrz” czy „w świecie” stwarza swego rodzaju weryfikację naszych zdolności, inteligencji, inwencji, wytrwałości, rzetelności itd. Sam dom mógłby nas pogrążyć w subiektywnym przeżywaniu siebie i swoich możliwości. Dlatego potrzebne jest wyjście z tego intymnego kręgu więzi rodzinnych i skonfrontowanie się z „rynkiem pracy”, z obiektywnymi prawami zdobywania pieniędzy na utrzymanie, stanowiska w

życiu społecznym i uznania w konkurencji z innymi. Taka weryfikacja jest potrzebna do budowania prawdziwej więzi miłości. Pamiętamy, że miłość to pragnienie rzetelnego dobra dla drugiego. Rzetelnego, czyli zweryfikowanego w życiu społecznym. I w tej dziedzinie praca zawodowa ma dużo do powiedzenia.

I tak np. kiedy mówimy o życiu zakonnym dzisiaj, to nie może ono wyglądać tak, jak to było np. 50 lat temu, a tym bardziej jak w średniowieczu, bo warunki życia zupełnie się zmieniły. I gdyby ktoś starał się realizować życie zakonne na wzór tego sprzed lat, to będzie żył w jakiejś nierzeczywistości. Dzisiaj nie da się utrzymać klasztoru pracując tak, jak kiedyś i dlatego trzeba dostosować swoje życie do dzisiejszych wymogów. Inaczej samo życie będzie czymś sztucznym. Jest to o tyle ważne, że posiada swój duchowy wymiar. Boga można spotkać jedynie w prawdzie i to w wymiarze egzystencjalnym. Kiedy nie trzymamy się obecnej rzeczywistości, popadamy w pozór. Tak dzieje się w sektach, które starają się żyć tylko we własnym kręgu i według przyjętych kiedyś schematów. Odcinają się od reszty świata, bo mogłaby ona „złe wpłynąć” na członków sekty i ich zdeformować. W zamkniętym kręgu można bujać w obłokach subiektywności. Okazuje się, że ludzie tak utrzymywani w zamkniętym kręgu potrafią wierzyć w dowolne bzdury, bo nie potrafią ich zweryfikować z rzeczywistością. I tak się niejednokrotnie dzieje w wielu grupach, nie tylko w sektach o charakterze religijnym.